11. Czerwca. **Nr. 30.** 1868 roku.

Wychodzi 1. 11. i 21. każdego miesiąca
(cztery arkusze druku.)

Cena:
kwartalnie . . . . . . 1 złr. 15 ct.
półrocznie . . . . . . 2 „ 30 „
rocznie . . . . 4 „ 60 „

Cena nn. z roku ubiegł. z przesyłką 60 ct.
— z dodatkiem 1 złr. 10 ct.

NOWINY

Listy *franco* przysyłać należy:
„Do wydawnictwa „**Nowin**“ we Lwowie
w drukarni **Kornela Pillera**.

Reklamacje nieopieczętowane nie opłacają się.

Ekspedycja i prenumerata miejscowa
w Administracji „Gazety Narodowej.“

O pisowni polskiej.

Ustalenie pisowni jest kwestją będącą na porządku dziennym u wszystkich ludów słowiańskich, i nie u nas tylko jest ona źródłem rozmaitych zamętów. Na Ukrainie, pomiędzy rusinami, w Serbji, Chorwacji przybierała ona w swoim czasie groźną postawę, i była a nawet jest dzisiaj kwestją prawie polityczną. Pisownia etymologiczna — to śmierć, a przynajmniej zkoszlawienie języka ukraińskiego, bułgarskiego, serbskiego; pisownia fonetyczna — to znowu zguba usiłowań dążących do zmoskwicenia, lub skoszlawienia języków słowiańskich!...

U nas jak i u Czechów pisownia nie odegrywa tak wielkiej roli; zawsze jednak jest ona powodem niesnasek, nawet większego znaczenia, jak naprzykład obecnie w W. ks. Poznańskiem.

Zdrowa natura języków słowiańskich wymaga pisma zgodnego z wymową; i zasadzie fonetycznej hołdują też niemal wszystkie ludy słowiańskie. Nasze ›pisz jak się wymawia‹ wskazuje również, że z zawiłemi formami etymologji pisownia nasza nie powinna mieć nic wspólnego. Pomimo to pisownia polska nie zdołała dotychczas stanowczo wejść na drogę postępu — nie jest ściśle fonetyczną — i dla tego staje się powodem niesnasek, jest ustawiczną kością niezgody pomiędzy gramatykarzami, i trzyma ogół w zawieszeniu co do sądu o prawdzie rzeczy.

Pozornie zdawać by się mogło, że pisownia nie ma wielkiego znaczenia, że nie wywiera wpływu na rozwój języka; w rzeczy zaś samej odegrywa ona w języku rolę niepoślednią: jest zdolną pomagać jego rozwojowi, lub powstrzymywać go na niej, a nawet przyprawić język o straty. Wymowa poprawna stosuje się do pisma — pismo na odwrot uczy wymowy... Zwróćmy się do przykładu: Pospolicie wymawiają: kuń, nogo, chlib i t. d., pismo nauczyło nas słowa te wymawiać: koń, nogą, chleb i t. d.; pisowni więc zawdzięczyć należy, że je wymawiamy poprawnie; a jak wielkie ma to znaczenie dla języka? wiadomo każdemu. Lekceważyć więc sobie sprawę takiej doniosłości jak pisownia, nie można, obojętnymi na jej przebieg zostawać nie należy.

Gorszącą jest dla wielu chwiejność, nieustalenie gramatyki naszego języka, a z nią pisowni. Złe to jest niewątpliwie! — nie mniej jednak złe konieczne. Język polski, jak wszystkie słowiańskie, jest młodym, wyrabiającym się — a każden taki język nie może posiadać gramatyki stałe i niezmienne określającej prawidła, bo i sam język jest jeszcze źmiennym.

Długie lata przejdą zanim język polski wyrobi się ostatecznie i stanie na stopniu tej doskonałości, jaką osiągnęły inne języki. To jednak nieustalenie form gramatykalnych naszej mowy, ani jest jej wadą, ani winą naszą; a nigdy, jak mniemają niektórzy, nie dowodzi ubóstwa języka polskiego. Przeciwnie, chociaż nie wyrobiony, młody jest on o wiele bogatszym od języków wyrobionych, i niepodobna dzisiaj oznaczyć granic przyszłej jego rozwojowej potęgi. Zarzucać naszemu językowi niestałość jest to obwiniać życie, iż w objawach swych jest zmienne, zdradza ruch, odmianę; kazać nam dzisiaj gwałtem pętać język w nieźmienne formy gramatykalne będzie to samo, co krępować członki dziecięce, by się nie rozwijały. Nie to powinno być przedmiotem naszych usiłowań! Nie o postawienie nieźmiennych form w gramatyce chodzić nam powinno, ale o kroki przedwstępne, roboty zaczątkowe fundamentalne języka, a taką jest: ustalenie pisowni możliwe dziś i konieczne, a to na drodze wskazanej przez zasadę przytoczoną o góry. ›Pisz jak się wymawia — wymawiaj zgodnie z pismem!‹ Oto reguła od której odstępować niewolno, a od której odstępujemy niestety!

Wbrew zasadzie fonetycznej, jedynie prawnej w językach słowiańskich, pismo nasze nie ma znaków potrzebnych na oddanie każdego dźwięku mowy, i posługuje się składanemi *sz, cz, rz,* literę *i* używa za znak miękczenia, nie ma znaku na dźwięk *ą*, a nakoniec, w osobie niektórych gramatykarzy, odmawia dźwiękowi *j*, wielkie mającemu znaczenie w mowie słowiańskiej, przynależnego stanowiska. O dźwięk *j* toczyli i toczą zawziętą walkę Serbowie, chociaż wiekopomny Karadžić odniósł w jej obronie świetne zwycięztwo — a i my podjazdową walkę mamy u siebie o *j*.

Na jotystów dzielimy się i ygrekistów. Każda z tych dwóch liter ma swoich filologów, pisarzy, pisma i ogół piszący; a do kompromisu przyjść nie może, bo *y* uporczywie odmawia miejsca przynależnego *j*.

Używając w piśmie naszem *j*, mamy po sobie: genjusz języka, mamy historję (Parkosz w XV. stol.), mamy inne mowy słowiańskie, i to jeszcze, że wierzymy potędze języka, któren uswaja sobie słowa obce tylko z pomocą zastosowania tej głoski — i uważamy że tego dość, ażeby wyraźnie oświadczyć się przeciw zdaniom obrońców *y*, chociaż w ich liczbie spotykamy powagi gramatyczne... Gdy piszę i wymawiam: Marya, Zofia, kopia, Francya słowa te brzmią mi obco; przeciwnie zaś bardziej mi są swojskiemi, jeśli je piszę i wymawiam: Marja, Zofja, kopja, Francja. A stanowczo twierdzę, że natura naszego języka jest tego rodzaju, iż jeśli cierpi słowa obce w sobie, tedy je możliwie uswaja — a więc być w sprzeczności z dążeniem języka nie widzę potrzeby.

Nie zwolennicy zgłoski *y*, mamy za sobą większą połowę Polski piszącej; mamy doświadczenie miljonów Sło-

wian, którym nie zbywało na argumentach, skoro wyszli zwycięzko z walki; mamy przekonanie, że tak a nie inaczej pisać należy, i wiarę, że gdy przyjdzie do narady ogólnej nad pisownią, głoska *y* ustąpi z niej, jako zawada niepotrzebnie osłabiająca nasze siły... i dla tego nie przestaniemy używać w naszem piśmie *j*, zaliczając się do zwolenników i obrońców tego sposobu pisania, zanim przyszłe orzeczenie znawców nie wszakże pisowni polskiej dróg stałych, któreby ją zawiodły do jak najrychlejszego ustalenia.

Pisownia polska potrzebuje reformy stanowczej, dłuższa jej chwiejność może być dla nas szkodliwą; dla tego też bardzo jest pożądaną polemika w tym przedmiocie, i wielce nas cieszą głosy podnoszone w tej sprawie w W. ks. Poznańskiem i u nas, a nie przestaniemy zalecać ludziom znającym się na rzeczy, by raz już zbiorowo orzekłszy zdanie o pisowni, zaprowadzili w niej ład i jednostajność. Jak w każdej, tak i w tej rzeczy, obok teorji wiele może praktyka: pisma czasowe i drukarnie są w stanie złemu zaradzić, byle tylko nastąpiło między niemi porozumienie jednomyślne i działalność stanowcza. — A wielki już czas potemu!

ŚWIAT I SUMIENIE.

Dramat w pięciu aktach

przez

TEOFILA SZUMSKIEGO.

Zmiana sceny:

(*W domu Pani Nałęcz, tenże sam pokój, co w akcie I. scenie I.*)

Scena VII.

ZOFJA (*sama*).

Przygotowania do Kamili szczęścia...
Matka się cieszy, Kamila wesoła,
A ja się lękam tego jej zamęźcia,
Aby pan radca nie zmienił anioła,
Przez skąpstwo swoje, w nieszczęsną ofiarę!
Boże mój, Boże! czyż ona w istocie,
Jakby za jakąś potępiona karę
Wszystkie nadzieje położyła w złocie?

(*Przechodzi niespokojnie po pokoju*).

Czemu Konstanty z przyjściem swem tak zwleka? —
W gronie wesołych nas smutnych jest dwoje;
W gronie, gdzie nie chcą znać go za człowieka,
Ma aż do śmierci wierne serce moje.
Matka się gniewa, ale w matki gniewie
Brzmią pana radcy obmyślane słowa;
O! lecz ten starzec obłudny — on nie wie,
Że jest na świecie jaka serca mowa,
Że taka mowa matki jest własnością,
Żem to przeczuła, jego myśl odkryła;
Bo matka skłaniać powinna miłością.

Scena VIII.

ZŁOTKOWSKI, ZOFJA.

ZŁOTKOWSKI
(*wszedłszy i oddawszy ukłon, mówi zmieszany*).

Prawdziwie... pani... rzecz trochę nie miła,
Nie miła, nawet... może niesłychana,
Wymaga jednak...

ZOFJA.

Mów pan, słucham pana.

ZŁOTKOWSKI.

Ot, to nieszczęście tej naszej młodzieży!...

(*Poprawia się*).

Choć ja nie przeczę, że młodzież kochana...
Bardzo odważna, ale nim przemierzy
I nim obmyśli — wprzód zrobi od rzeczy.

ZOFJA.

Lecz o cóż idzie?

ZŁOTKOWSKI.

Właśnie o młodzieńca,
Który los własny porywczo niweczy,
Ojca przeraża czynem zapaleńca! —
Oto Konstanty, kuzynek mój drogi —
Bo ja go kocham — dzisiaj, bez przyczyny,
Porzucił nagle rodzicielskie progi,
Poprostu — uciekł.

ZOFJA.

Ale z czyjej winy?

ZŁOTKOWSKI.

On to niestety zawinił uporem!
Ale co teraz, cóż on teraz pocznie?
Zraziwszy ojca, co ojców jest wzorem.
Dla tegom tutaj udał się niezwłocznie,
Niech pani radzi, by zmienił swe cele.
I z panią Nałęcz pomówiłbym chętnie,
Może nań wpłynie — zanim się ośmielę
Przed ojcem znowu bronić go namiętnie...

ZOFJA (*wskazując na prawo*).

Mama u siebie.

ZŁOTKOWSKI.

Więc pani daruje.

(*Kłania się i wychodzi na prawo*).

Scena IX.

ZOFJA po chwili KONSTANTY.

ZOFJA.

Czyżby w istocie zajął się nim szczerze?
Tak Konstantego serdecznie żałuje...
Ach, nie wiem czemu, ale mu nie wierzę.
Bo pocoż mama?... jakąż da mu radę?
Czy to komedja, by ukryć zamiary,
Po za któremi chowa jakąś zdradę? —
O! dziwnie, dziwnie słodki był ten stary!...

KONSTANTY (*wchodząc*).

Wczoraj żegnany, powiedziałem tobie,
Że kilka godzin rozłącza nas może;
A dziś dopiero o spóźnionej dobie
Ledwiem czas znalazł.

ZOFJA.

Nie próżno się trwożę,
Nie darmo przeczuć dręczą mię widziadła!
I ten Złotkowski tak pełen słodyczy...

KONSTANTY (*przerywając*).

Więc był już tutaj?

ZOFJA (*szybko*).

Z zamiarem, czym zgadła?...

KONSTANTY.

Ktoż ich zamiary przejrzy i obliczy?...
To tylko pewna, że w porozumieniu
Z mym ojcem kuzyn — a na pozór radzi;
Niby to ulgę chce nieść w mem cierpieniu,
A z ojcem wspólnie rzeczy tak prowadzi,

Bym pod naciskiem trudnego zadania —
Według nich warjat, bez przytułku prawie —
Abym dziś, mówię, źmienił przekonania
I wszedł do bióra. — Ojciec sam, w obawie;
Przezemnie, mówi, traci na honorze,
Że ja, syn radcy, i bez stanowiska!
Że mnie do związku nakłonić nie może
Z sekretarzówną; żem jego nazwiska
Niegodny człowiek! — O! pocieszne żale!
Wtedy, gdy węzły serdeczne stargane,
Kiedy o nędznej rozmyśla się chwale,
Aby z niej zrobić więzy ołowiane
Na duszę syna, która chce swobody;
Chce, więc ją zabić trzeba żądzą pychy,
Budzić tę żądzę, aż ostygnie młody,
Aż zacznie jadem pryskać, jak wąż, cichy,
Spoglądać dumnie na tłumy dokoła,
Na które bicza według nich potrzeba:
Taka zaiste miała być ta szkoła,
I taka droga do dobrego chleba.

ZOFJA.

Goryczy tyle do starań na życie!
Boże mój, Boże! Konstanty, ja proszę
O twych zamiarów zupełne odkrycie,
Ja o to błagam. Wiem, że nie roskosze
Czekają ciebie, lecz powiedz mi szczerze:
Co masz, by pierwsze usunąć przeszkody?
Bo nim za pracę jaki grosz się źbierze,
Coż, i jak poczniesz?

KONSTANTY.

Użyję swobody.

(*Zofja okazuje ździwienie*).

KONSTANTY.

O Zofjo moja! nie sądź ty źle o mnie,
Ni w słowach moich szukaj lekkoducha;
Choć potępili, działam dość przytomnie,
A to nie mała w życiu tem otucha.
Lecz ja czekałem tej serca swobody,
By jawnie wyznać, żeś ty jego panią!
Otoż los skruszył wahanie, przeszkody,
Ojciec wie teraz. Niechaj mnie więc ranią,
Niechaj odstąpią krewni, przyjaciele,
Nie mam pomocy... dobrze! praca czeka,
Mam na początek chęci bardzo wiele,
Co dla chciwego nawet dość człowieka.

ZOFJA.

Ty chcesz spokoju przerażonej duszy,
Chcesz, kiedy miłość trwożliwa na straży;
Szlachetność twoja trwogi nie zagłuszy.
Choć ta szlachetność ludzi nie oskarzy,
Losu nie przeklnie. — Konstanty, wiem przecie,
Że niepodobna bez pomocnej ręki —
Nim znajdziesz pracę — wyżyć tak na świecie,
Tak, bez sposobu... więc oszczędź mi męki
I przyjm odemnie pomoc, choćby małą,
Przyjm, potem oddasz...

KONSTANTY.

Składam tobie dzięki
Za twoją śmiałość! — A ja, czyż nie śmiało
Mam wejść w to życie, nie o własnej sile? —
Smutnoby było tracić w siebie wiarę!
Dziś, kiedy trzeba, aż do dna wychylę
Trudów, goryczy i zawodów czarę,
A jutro? — przyszłość; dzisiaj, choć pomału,
Uniesień tylko los wyszarpie pierze,
Ale mi skrzydeł nie wyrwie zapału,
Ni doświadczenie nadzieję odbierze.

Scena X.

ZOFJA, KONSTANTY. — PANI NAŁĘCZ, ZŁOTKOWSKI

(*wchodzą z prawej*).

ZŁOTKOWSKI (*do Pani Nałęcz*).

O! to jest rzeczą honoru, sumienia...

PANI NAŁĘCZ (*do Zofji*).

Zosiu, idź proszę pomódz w czemś Kamili.

(*Zofja wychodzi na prawo*).

PANI NAŁĘCZ.

Panie Konstanty, pan wie bezwątpienia,
Że w moim domu od pierwszej już chwili
Był ojciec pański gościem pożądanym,
A teraz nawet znalazł tutaj żonę...
Lecz zamiar pański, czyliż był mi znanym?
Dziś, moje dziecko będzie narażone,
Bo dziś niestety! dopierom spostrzegła,
Żeś się o Zofji starał przywiązanie...
Za mało widząc, byłam jej uległa,
Pan zaś nadużył matki zaufanie.

KONSTANTY.

Jeżeli kocham szczerze córkę pani,
Toż nadużyciem ma być z mojej strony?

ZŁOTKOWSKI.

Nie miłość niemą — mówiącą się gani.

PANI NAŁĘCZ.

Ojciec zaś pański chce, abyś dla żony
Miał utrzymanie...

ZŁOTKOWSKI.

To życia podstawa.

PANI NAŁĘCZ.

Zresztą, czyż wiecznie trwać będzie wiek młody?
Brak stanowiska czy w drodze nie stawa?
Pan radca także ma jakieś powody,
Byś szukał żony...

KONSTANTY.

W domu sekretarza —
Już wiedzą wszyscy. — Pani mi daruje,
Że młodość moja dziś starców oskarza —
Ale zaprawdę, starość dziś nie czuje,
Nie myśli, nie śmie — powietrze zatruła,
I wolę młodych ścięła jakby lodem,
I ma już z wielu powolnego muła —
Tak krocząc, sądzi, że z całym narodem
Idzie i wiedzie w doświadczenia ślady;
A tu, wiatr lekki niedołężne kroki
Chwieje, zawraca, i drżący głos, rady
Chwiejne podaje — to rozum głęboki! —
A inny woła: „Matki i ojcowie!
Mam syna, patrzcie, co zrobi karjerę,
Niech posag córki tylko mu odpowie,
A targ dobity!“ — W taką i mnie sferę
Mamiącą zmysły, co ducha zabija
Chciano potrącić. — Miałżem iść tą drogą!
Gdy mi tu serce, dziś tak rzadkie, sprzyja?
Gdym się spodziewał, że nadzieję błogą
Pani umocni?

PANI NAŁĘCZ.

Posłuchaj pan głosu
Rozwagi, słuchaj! Nie chcę robić próby
Ze szczęściem dziecka; pan, nie psuj jej losu,
I siebie także nie przywodź do zguby.

KONSTANTY.

Nie wszyscy giną, co nie wierzą w złoto.
Nakoniec pani! czyliż z tą istotą,
Którą Bóg natchnął najczystszą miłością,
Postąpić zechcesz jakby przed stu laty?

PANI NAŁĘCZ.

Życzeniem mojem, abyś pan z godnością
Postąpić zechciał.

KONSTANTY.

Czy dla własnej straty? —
Z godnością? pewnie, nim los mną owładnie,
I choć karjera z nieba mi nie spadnie,
Zawsze z godnością.

(*Kłania się i wychodzi*).

Scena XI.

PANI NAŁĘCZ, ZŁOTKOWSKI.

ZŁOTKOWSKI (*odprowadziwszy Konstantego*).

A to panie, Boże!
To brak religji, i to co się zowie,
Nic już nie mówiąc o serca pokorze.

PANI NAŁĘCZ.

Gorzka to prawda.

ZŁOTKOWSKI.

A cóż, kiedy zdrowie
Odzyskać chcemy, pić trzeba gorycze.
Ale wracając do rzeczy z kolei,
Do interesu: — Ja z pewnością liczę,
Że wkrótce stanę u kresu nadziei
Za najłaskawszem wstawieniem się pani. —
Sumienie wspiera dobre chęci moje!
Ja, pannę Zofją wyrwać chcę z otchłani
Pragnąc jej ręki. Ja wprawdzie nie roję,
Lecz myślę za to, ach! myślę i szczerze:
Cały majątek panna Zofja bierze,
Gdy mnie wybierze.

PANI NAŁĘCZ.

Już ja zrobię swoje.

ZŁOTKOWSKI.

Stokrotne dzięki.

(*Z ukłonem wychodzi*).

Scena XII.

PANI NAŁĘCZ, ZOFJA.

(*Zofja wchodzi i staje u drzwi, gdy mówi Pani Nałęcz*).

PANI NAŁĘCZ.

Jego żoną będzie
Zofja koniecznie. — Słuszne jego zdanie,
Że dziś należy stawić w pierwszym rzędzie
Ludzi, co pewne mają utrzymanie,
Bo tacy tylko mogą dla ludzkości,
Dla dobra kraju działać bez przeszkody.

ZOFJA.

I cóż samolub zdziała bez miłości?

PANI NAŁĘCZ.

O! pan Złotkowski dał serca dowody.

ZOFJA.

Najmniejszych nie dał; i nie wiem co zrobi,
Jeżeli kiedyś bóstwo swe postrada,
Swe wory złota — czem nędzę ozdobi?

PANI NAŁĘCZ.

Aby nie stracić, w oszczędności rada.
A pan Złotkowski kocha cię prawdziwie.

ZOFJA.

Ten starzec kocha? — Ten starzec przeziera
Okiem — nie sercem... on patrzy straszliwie!
O! matko, wstyd mi! w starych wstyd umiera,
Kiedy nie widzą czego starzec żąda.
O! nie tak miłość, o! nie tak wygląda!...

PANI NAŁĘCZ.

Rozsądku radź się, lecz nie urojenia,
I bądź posłuszną.

ZOFJA.

Nie szukajcie rady,
Kiedy nie chcecie zrozumieć cierpienia!
Poprosi o to każdy człowiek blady,
Który rozsądku waszego zna czyny,
Prosi: nie budźcie rospaczy na Boga!
Ni w piersi męża, ni w sercu dziewczyny,
Matko! bo rospacz, to już czynów droga,
Może szalonych, może... mamo, może...
Przebacz, zapomnij com rzekła przed chwilą,
Żal to powiedział... (*siada*).

PANI NAŁĘCZ (*podchodząc ku Zofji*).

Co ci to? mój Boże,
Ona zasłabła! (*woła*) Kamilo! Kamilo!

(*Kamila stoje we drzwiach z prawej*).

Koniec aktu drugiego. (C. d. n.)

BYSIO KOCHA SIĘ!

HUMORESKA

przez

AURELEGO URBAŃSKIEGO.

I.

Pani Pawłowa zostaje wdową — Bysio dostaje wąsów.

Więc pan Paweł umarł?... Co za szkoda!... Pan Paweł, tak zacny człowiek, tak spokojny obywatel!... Zaręczam, że gdyby żył jeszcze, dziś obranoby go nieomylnie do Rady powiatowej!...

I cóż mu było?... Czy astma dusicielka przygniotła śmiertelnie dwudziestoletnią wojną domową nadwerężone piersi nieboszczyka? czy paraliż, skrytobójca, zwalił z cienkich nóg nieszczęśliwą swoją ofiarę? czy zapalenie obywatelskiego mózgu, wycieńczonego pracą umysłową dla dobra kraju przywiodło o niespodziany zgon śmiertelnika?... Nie!... Pan Paweł nie umarł ani na astmę, ani na zapalenie mózgu... Pan Paweł umarł — na panią Pawłowę!...

Poświadczy to całe szanowne sąsiedztwo Kałużyniec, posiadłości tabularnej państwa Pawłów, które nieraz świadkiem było walki podjazdowej... poświadczy tembardziej pan Jakub, dawny kolega pana Pawła, jedyny przyjaciel nieboszczyka od czasu sprowadzenia się szanownego małżeństwa do Lwowa, dla ukończenia edukacji jedynaka — Bysia!

Otoż pan Paweł póty w skargach wylewał przed panem Jakubem gorycz małżeńskiego pożycia i póty w towarzystwie tegoż pod ›Gołąbkami‹ wlewał słodową prezerwatywę przeciw ustawicznym zmartwieniom tego rodzaju, prezerwatywę skuteczną w postaci ciemnobrunatnego, perlącego się nektaru z Kisielki — aż umarł; a gdy umarł, został po nim pod ›Gołąbkami‹ ulubiony jego kufelek, a w domu nieutulona w żalu wdowa i owoc jedyny małżeńskiego ich, omal że nie powiedziałem: pobicia — ubóstwiony Bysio!

Jaką procedurą chemiczno-lingwistycznego rozkładu z Klotyld powstają Kocie, z Piotrów tworzą się Piesie, z Karolinek wyradzają się Pepcie lub Lotki, — podobnym choć niedoświadczonym przebiegiem Albinek państwa Pawłów przekształcił się w Bysia.

Bo też nieboszczyk i pozostała po nim wdowa przepadali za Bysiem!... Gdy zaś pan Paweł tym razem także przepadł, ale niepowrotnie i na łonie Abrahama wywodzić poszedł żale swego żywota — w smutku pogrążona pani Pawłowa, utuliwszy płacz spazmatyczny i obcałowawszy osieroconego jedynaka, nie przepomniała najsamprzód weksle z podpisem ś. p. nieboszczyka ogłosić za nieważne i jej nie obowiązujące; poczem wydobywszy z kryjówki w starej komodzie wypłowiały, ale pękaty należycie pugilares z uciułanem, bez wiedzy zmarłego, groszem, i wypuściwszy Kałużyńce nadal w dzierżawę, przeniosła się z Bysiem na Zielone, gdzie wynajęła dla siebie trzy małe pokoiki z kuchenką. Ukończenie edukacji Bysia spowodowało ją do tego kroku; a choć, Bogiem a prawdą, trudno kończyć to, czego się nie zaczęło — jednak według jej wyrażenia: ›Bysia edukacja świetnie ukończoną być musiała!‹ A propos, dodać należy, że biedny, osierocony Bysio, poczynał ośmnastą wiosnę życia!

Lat ośmnaście!... mój Boże!... Ileż marzeń uroczych, i snów młodocianych!... Ileż pragnień i ile nadziei!... A jaki polot myśli i uczucia!

„Młodości! Orla twych lotów potęga,
A jako piorun twe ramie!...“

Z tej też przyczyny Bysio wzbiwszy się orlim lotem w górne sfery, zkąd brzmią niebiańskie tony, t. j. na Wysoki Zamek, gdzie przy karuzelu walcuje katarynka, i dosięgłszy myślą prawdziwej bogów nadziemskich ambrozji, t. j. pieczeni cielęcej z rumianym sosem, którą tak smacznie przyrządzać umiała stara Katarzyna, kucharka pani Pawłowej — Bysio ani tknął łaciny, greką pogardzał, a matymatykę uważał za wynalazek szatana; a że loika i psychologja przeładowują głowę, mącą spokój duszy i obciążają umysł, Bysio zatem pewnego pięknego poranku sprzedał wszystkie skrypta i zeszyty Bojkowi na bryndzę — a książki szkolne usłużnemu żydkowi, z przypadkowym dodatkiem maminego szlafroka... O, greyslerei z nowiutkim szyldem naprzeciw okien pani Pawłowej! Dlaczego, tak smaczne sporządzasz makagigi i tak nęcące posiadasz cykaty!

Tak przepędzał Bysio młodociane swoje sieroctwo.

Mama, jakto zwykle mama, rzucała się niecierpliwie na skromne uwagi pana korepetytora, który przedewszystkiem zalecał wykształcenie klasyczne...

— Głupstwo, panie profesor, niemieckie wymysły! — Ś. p. nieboszczyk nie uczył się filozofji i geometrji; nie wiedział co to gramatyka i analityka, a przecież był szanowanym obywatelem, i omal go nie wybrano na posła... Tylko te intrygi gazeciarskie!... A potem, Bysio nie będzie ani inżynierem, ani literatem — toż mu tych głupstw nie potrzeba... Bysio sam jest klasyczny! Jego przeznaczeniem: ożenić się bogato!... Patrz pan tylko, co to za luby chłopczyna, aż miło!

Ten luby chłopczyna ›aż miło‹, był to sobie blondynek barczysty i opasły, pięć stóp i dziewięć cali wysoki, o jasno niebieskich oczach, nie zdradzających zbyt wiele dowcipu, o nadętych policzkach, czerwonych jak jabłuszko... głowa jego krótko ostrzyżona dozwalała dojrzeć pary potężnych organów słuchu, sterczących po obu hemisferach tłustej fizyognomji — co było zresztą w rodzinie Bysia tradycyjną spuścizną po mieczu i kądzieli...

I doszedł Bysio do lat dwudziestu! Lat dwadzieście!... Tu mógłbym znowu wypalić łokciową apostrofę do dwudziestego roku Bysia, bredzić poetycznie o młodości i wiośnie, o różach i bławatach, i t. p. rzeczach bardzo na miejscu i bardzo szlachetnych — ale przypomniawszy sobie, że już wyżej coś podobnego uskuteczniłem, wracam do Bysia, który w dzień swych urodzin przejrzawszy się w źwierciedle, odkrył nagle pod wybitnym swoim organem węchu, *vulgo* pod nosem dwa małe blond kosmyki, które powabnie skręcały się ku sobie, jakby świat cały przygarnąć chciały do swojego łona!

Nie wiem co powiedział Cicero, domacawszy się na swej twarzy po raz pierwszy tej oznaki młodzieńczej *maturitatis*... obcem mi również, co przy podobnej sposobności wykrzyknął Demostenes, lub Karol Wielki — wszelako znam dokładnie słowa, które jak grom wypadły z pod blond wąsików dwudziestoletniego Bysia...

Tu — w zamiarze przedstawienia bohatera naszego w odpowiedniem świetle, a nie obawiając się świadków, którzyby mi fałszowanie faktów dokonanych zarzucili — mógłbym przytoczyć słowa Bysia w ten sposób, po tylu powieściach praktykowany, np.:

Bysio wzniosłszy oczy ku niebu, zawołał pełen entuzjazmu: *Eureka*!... Albo z dumą: *Anch'io sono pittore!* Albo z namysłem i rozwagą: *Be or not to be!* Albo uszczypliwie z uśmiechem i mrugnięciem lewego oka: *Honny soit, qui mal y pense!* Albo czupurnie i wzywająco: *Gefährlich ist den Leu zu wecken!* Albo nakoniec, posługując się chociażby i ojczystym płodem poezji: ›Ozdobo twarzy, wąsy pokrętne!...‹

Jednak chcąc dać dowód niezłomnego charakteru autora, który żadnymi względami się nie powodując, jedynie prawdzie wierności dotrzymuje — pośpieszam zanotować wykrzyk Bysia zaczynający nową epokę jego żywota:

— Mamo! Ja mam wąsy! — Mamo! Ja mam wąsy! powtórzył i wybuchem radości wywrócił stół, na stół źwierciadło, na źwierciadło siebie. Zerwał się, a mama dobrodziejka przekonawszy się naocznie i namacalnie, że Bysiowi nic złego się nie stało, szepnęła w macierzyńskiem uniesieniu:

— Tak, Bysiu! Ty masz wąsy... — A po chwili dodała, na poły do siebie: — A panny lubią wąsy!

Bysio dając *entrechats*, jakichby się i mistrz Pacali nie powstydził, wybiegł wywracając krzesła i zerwawszy firanki...

I trzykroć echo gruchnęło o mury,
Porwane wirem w niewidzialne pląsy,
I wstrząsnął gmachem odgłos ów ponury:
„Bysio ma wąsy! Bysio dostał — wąsy!“

II.

Bysiowi świta w głowie — Bysio kocha się na zabój.

I wybiegł Bysio i poczuł wielką w sobie źmianę sprowadzoną nowym nabytkiem i rozdmuchaną nierozważnemi słowami mamy dobrodziejki.

Wybiegł Bysio na dziedziniec, jedną ręką podkręcając wąsika, drugą przyciskając serce — Bysio zaczął się kochać!...

I niechże mi kto powie, że wąsy nie są konduktorami miłości!..

Jak powiedziałem: Bysio zaczął się kochać, z tą jednak różnicą od innych ludzi, że nie znał jeszcze przedmiotu owego gwałtownego uczucia; że zaś gwałtownem było to uczucie, doświadczył tego mops mamy dobrodziejki, który nie bez przyczyny żałośnie zawył... i twarz energiczna Bysia, na której silne wybiło się postanowienie: Ja muszę się kochać...

— Muszę się kochać, gdyż Józio się kocha i Adaś się kocha!

Powziąwszy to silne i niezłomne postanowienie, Bysio spoglądnął w około i mierzyć począł po porządku okna w oficynie... Na prawo mieszkał pensjonowany rotmistrz od huzarów, węgier, który po długoletniej służbie złożył w oficynie na Zielonem zardzewiałą szablę, sterane kości, i córeczkę jedynaczkę.

Panna Lina siedziała w oknie i dziergając piękną rączką kołnierzyk spoglądała czasem na dziedziniec... Bysia wzrok i spojrzenie panny Liny skrzyżowały się w połowie drogi, co się najczęściej wtenczas przytrafia, gdy dwoje ludzi patrzą na siebie; Bysio zaś patrzał w pannę Linę jak w tęczę, a panna Lina patrzała w Bysia z zadziwieniem, dlaczego Bysio na nią tak spogląda?...

Bysio powiedział do siebie: kocham się, kocham się na zabój! a panna Lina zapytała siebie w duchu: Dlaczego ten gruby blondynek patrzy tak na mnie?

Ów wykrzyknik z tym znakiem zapytania krzyżował się zatem czas niejaki w spojrzeniach Bysia i panny Liny, i byłoby to trwało do chwili ostatecznej, kiedy groźna trąba archanioła zagrzmi z nad wysokiego Zamku ku Łyczakowowi, gdyby panna Lina nie była wstała z miejsca i nie wychyliła się za okno... Bysio postąpił krok naprzód... Panna Lina odszczepiła haczyki i przymknęła okno...

Takie było pierwsze spotkanie się tych dwóch istot.

On — był to blondyn — syn obywatelski —
Ona zaś — córką rotmistrza... (C. d. n.)

Korespondencje.

Paryż, 24. maja 1868.

U nas gdzie tak wielki jest podział na kasty, z własnej woli dzielimy się jeszcze bardziej, i rzadko ogólnem mianem Polski obejmujemy wszystkich jej synów, wszystkich jej pracowników; najczęściej słyszeć się daje: Litwin, Rusin, Koroniarz i t. d., a już emigrację oddzielamy zupełnie, jakby zgangrenowaną część, i słyszeć o niej nie chcemy. O syberyjskich braciach i bez tego nie słyszemy. A przecie wszyscy czy to nad Sekwaną czy nad Leną, nad Dźwiną czy Wisłą, nad Wartą czy nad Dnieprem, wszędzie dążymy do jednego celu, wszędzie pracujemy w jednym kierunku i jeżeli gdzie zbaczamy z drogi, to przynosimy krzywdę całości. Najwięcej jednak usuwamy z widowni emigracją, obawiając się jej jak zarazy, choć emigracja ta, postawiona w niekorzystnych warunkach i odosobiona, nie przestaje pracować i wiele rzeczy robi. Ale cóż począć? nie można o niej mówić! musimy się stosować do gustu czytelników!...

Tym razem czytelnicy mi wybaczą, ale będę mówić o emigracji; mogą nie słuchać, ja zwracam się do młodzieży uniwersyteckiej. I my kiedyś byliśmy na uniwersytetach, studjowaliśmy tam nauki i sądziliśmy, że będziemy w kraju owoc prac naszych zaszczepiać; tymczasem los nas rzucił na obcą ziemię, a tu kazali nam zapomnieć tego, cośmy się nauczyli i uczyć się na nowo. Wszak to ciekawe, nieprawdaż koledzy?...

Na emigracji istnieją trzy szkoły polskie (we Francji). Jedna „Batignolska“ dla dzieci (gimnazjum), druga „Montparnaska“ o której mówić będziemy, i trzecia tak zwana „Seminarjum wojenne“ czyli „Szkoła Zabielskiego,“ w której uczono wszystkiego, poczynając od katechizmu i taktyki, a kończąc na chemji i pływaniu. Kurs każdej nauki trwał miesiąc, dwa, a uczniowie zmieniali się co tydzień, profesorowie co trzy miesiące.

Szkoła pana Zabielskiego zwiniętą została dla braku uczniów i profesorów Nikt niczego w tej szkole nie nauczył się, a nie jeden czas zmarnował Dzięki Bogu, już dziś tej szkoły niema. Powiadamy: Dzięki Bogu, bo kosztowała drogo.

„Szkoła Montparnaska,“ przygotowawcza do wyższych zakładów francuzkich, założona staraniem polaków w domu ks. Czartoryskiego, a utrzymywana głównie przez rząd francuzki i ze składek polaków. W tej szkole wykładane były kursa matematyczne w ciągu dwóch lat, poczem uczeń składał egzamina do specjalnych inżynierných zakładów naukowych jak Metz, Dróg i Mostów, Min i t d. W szkole tej uczniów było nie wielu, bo i szkoła ta była niepotrzebna, gdyż polacy kończący tutaj licea mogli wprost postępować do zakładów specjalnych. Po powstaniu przybyła emigracja. Młodzież, która pokończyła szkoły, uniwersyteta, zwłaszcza wydział matematyczny nie chciała zaniechać swojej nauki; więc zamiast iść kopać glinę lub myć wagony, chciała skorzystać ze „Szkoły Montparnaskiej“ i tam nauczyć się terminów francuzkich, nauk matematycznych. Myśl ta niepodobała się władzy szkolnej. Rada i nauczyciele zarówno powstali przeciwko temu z różnych powodów: Rada obawiając się mieć uczniami obywateli skończonych, ludzi wykształconych i krajowi zasłużonych, bo nie mogłaby zastosować się do ich wymagań, gdyż chciałaby mieć w szkole dzieci; nauczyciele zaś obawiali się, że uczniowie więcej od nich umieć będą, a to nie łatwa sprawa z takimi uczniami. Naznaczono więc surowe egzamina wstępne, a trzeba dodać, że nauki matematyczne w „Szkole Montparnaskiej“ poczynają się od dodawania. Nie było co robić lepszego — trzeba było uledz kaprysom zwierzchności szkolnej i stanąć do egzaminu.

Obywatel X. ukończył uniwersytet w Moskwie na wydziale matematycznym, otrzymawszy stopień kandydata *).

Pytają: „Dwa razy dwa — wiele będzie?“

— Cztery

— Dla czego?

— Dla tego, że dwa a dwa to cztery.

---

*) Kończący uniwersytet w Moskwie jeżeli nie złoży egzaminu otrzymuje świadectwo „lubitiela proświeszczenija“ jeżeli go złoży dostaje stopień „Studenta,“ jeżeli go złoży najlepiej „Kandydata.“ Co odpowiada zagranicznemu doktorowi, tylko że tezy nie broni publicznie.

— Ale dla czego cztery, a nie pięć?
— Dla tego, że jest cztery.
— Nie prawda.
— Czy mam przysięgać?...
— Pan żartujesz.
— Wcale nie, z pewnością będzie cztery.
— Pan nie możesz być przyjęty do szkoły, bo pan najprostszego zadania nie umiesz rozwiązać,
— To się w szkole nauczę, dla tego chcę wstąpić do niej.
— Pan z nas drwisz!

Obywatel X. nie został przyjęty, aż dopiero za protekcją ks. Czartoryskiego.

Obywatel Y. także kandydat nauk matematycznych i naturalnych.

Profesor. — Masz pan dodać 375, + 1847, + 7693, + 87. — Dodaj to pan.

Pan Y. napisał liczby jedne pod drugiemi i podkreślił.
— Na co pan podkreślasz?
— Ażeby oddzielić liczby, które mam dodawać do sumy.
— Dla czego pan robisz tę linijkę?
— Dla ułatwienia, odróżnienia.
— Nie. Dla czego pan podkreślasz u dołu?
— Żeby te liczby co napisałem nie pospadały!...

Obywatel Y. nie został przyjęty do szkoły!... W ten sposób odprawiono wszystkich, uznawszy, że nie są usposobieni do słuchania kursów w tak zwanej szkole polskiej. I postąpili tylko ci, którzy mieli protekcję. Ale to tylko dla tych, którzy byli w uniwersytecie; innych przyjmowano z łatwością, a byli i tacy co ledwie czytać i pisać umieli.

Owoż ta szkoła jakkolwiek w tak niedorzeczny sposób, jeżeli wolno się tak wyrazić, kierowana — oddawała przez lat cztery wielką usługę; tam wreszcie dzięki rządowi francuzkiemu po sto osób przyuczało się języka i przygotowywało się do egzaminów. Obecnie szkoła została zamkniętą, a to z następujących powodów.

Między uczniami znalazł się jeden taki, który lubił przywłaszczać sobie zegarki, odzienie, pieniądze i różne inne rzeczy, jak to zwyczajnie na świecie bywa... Młodzież obejrzawszy się chciała oczyścić się z brudu i poprosiła kolegę aby ze szkoły wystąpił. Dyrektor (Habich) przyjął stronę obżałowanego, gdyż był jego ulubieńcem. Uczniowie jednomyślnie zażądali wydalenia przywłaszczyciela, dyrektor zagroził wypędzeniem wszystkich uczniów ze szkoły; uczniowie zaproponowali dyrektorowi, aby on wystąpił ze szkoły (już to nie po raz pierwszy o to go proszono). Dyrektor odwołał się do Rady. Habich, ks. Czartoryski, Ostrowski i Dąbrowski tworzyli Radę. Rada wezwała policję, i pierwszych sześciu z kolei wypędziła ze szkoły, a nazajutrz jeszcze dziesiątek; a trzeciego dnia wszyscy pozostali, wraz z wypędzonymi, podali żądanie o źmianę dyrektora i opuścili szkołę. Rada szkołę zamknęła.

Działyński i Branicki chcieli swoim kosztem otworzyć ją na nowo i zreformować podług potrzeby, ale Rada dosyć silną u rządu opozycję postawiła. Co dalej będzie? zobaczymy.

(D. n.)

Rozmaitości.

* Pan Karol Kühnl pesjonowany major podarował zakładowi Imienia Ossolińskich swój bardzo bogaty zbiór, składający się z:

a) 148 obrazów olejnych.
b) Teki z własnoręcznemi szkicami najznakomitszych malarzów, między któremi 4 Rafaelowskie, z tych jedna przesłana była, według współczesnego (1515) na niej dopisku, w upominku znakomitemu malarzowi norymbergskiemu, Albrechtowi Dürerowi.
c) Statuy naturalnej wielkości Najświętszej Marji Panny.
d) Książek, sztychów, kamey i rzeźby.

Z tych zbiorów Zakład już otrzymał:

1) Karton ze szkicami w liczbie 400.
2) Trzy nader znakomite kamee z wizerunkiem Leonarda da Vinci, Rafaela i młodej kobiety.
3) 30 sztychów z oryginalnych rysunków Rafaela, znajdujących się w akademji weneckiej sztuk pięknych (roku 1829).
4) Następujące obrazy olejne:
1. Wydobycie Mojżesza z Nilu, Murilla.
2. Uczta bogów Rubensa.
3. Wskrzeszenie Łazarza, prawdopodobnie Rembranta.
4. Dziewica i pasterz Juliusza Romano.
5 Zesłanie Ducha świętego Giorgio Bomborellie go (Glorgione).
6. Bitwa przez Bourguinona.
7. Bitwa tegoż.
8. Adam i Ewa Varotarego (Padoviano).
9. Dziewczyna modląca się Sebastiana Conchy.

* P. Rapacki artysta sceny krakowskiej, jak donosi „Czas“ ogłuchł na jedno ucho. Głuchota jest klęską dla aktora, tem dotkliwszą, że go obezwładnia, gdy z pozoru nie zbywa mu na niczem.

* „Sokoł“ towarzystwo gimnastyczne lwowskie urządza z końcem Czerwca wycieczkę do Poznania. Nadarza się dobra sposobność poznania najstarszych miejscowości w Polsce.

* Na opróżnioną po ś. p. Cybulskim katedrę literatury słowiańskiej w Wrocławiu powołano p. Nehringa, autora „kursu Literatury polskiej.“

* W Archiwum Centralnem w Kijowie, gdzie znajdują się dawne księgi grodzkie trzech województw, odkrywają obecnie moskale mnóstwo dokumentów fałszywych. Konsekwencja nakazuje o fałszerstwo obwiniać Polaków — ale prawda rzeczy wskazała by komisję wydającą „Aktą“ jako winowajcę, bo pp. Iwaniszewu i Józefowiczowi zbyt wiele dokumentów nie nadawało się do ich gorliwych chęci: czernienia przeszłości Polski, opierając się na dokumentach zawartych w księgach Archiwum!... Nie przeczymy, że mogły się zdarzyć fałszerstwa aktów w celu wylegitymowania familij ubiegających się o szlachectwo; ale niewątpliwie wydawcy Aktów uciekali się do tegoż samego środka, a to w celu mniej godziwym!...

* Zwłoki niezapomnianego Artura Grottgera będą w połowie b. m. przewiezionemi do Lwowa. Miasto dało ze swej strony bezinteresownie miejsce na cmentarzu, zwolniwszy kondukt od opłaty; czciciele genjalnego rysownika zajmą się pogrzebem.

* (Teatr). 7. b. m. dano na benefis p. Dębickiego nic wartą komedję Gorczyńskiego p. t. *Detaksatorowie w Galicji*, której nie zdołała utrzymać bardzo staranna gra artystów — i *Napój miłosny* — obrazek w 1. akcie napisany przez beneficjanta zręcznie, chociaż niezbyt oryginalnie. Wiersz gładki, niektóre śpiewki bardzo udatne, a rzecz cała, przy swych niedostatkach, zdradza talent w autorze. P. Linkowski w obu sztukach grał bardzo dobrze. Pni Doroszyńska z uczuciem odśpiewała ładniutką piosenkę o sierocej doli dziewczęcia.

Wystąpić tu musimy przeciwko nadużyciu jakie się wkradło na naszą scenę, ze szkodą ogólną. Nagrodą artysty są oklaski — jednakże nie powinny one szkodzić innym, a od niejakiego czasu weszło w zwyczaj, że grający, po zejściu ze sceny wraca napowrót dla podziękowania publiczności za oklask konwencjonalnym ukłonem — co psuje efekt i w dziwnej pozycji stawia artystów czynnych na scenie.

Grający rolę winien o sobie zapomnieć; międzyakty dopiero wracają artyście swobodę, i wówczas może prezentować się publiczności, i dziękować jej za dobre przyjęcie — nigdy zaś nie ma prawa robić tego w czasie przedstawienia.

* Nieznana dotąd jeszcze opera Meyerbeera. Dzieło to muzyczne dziwnemu uległo losowi z woli kompozytora. Jeden z feletonistów francuzkich Blaze de Bury napisał jej tekst pod tytułem: Młodość Goethego, a Mayerbeer napisał muzykę do niej. Obecnie znajduje się ona wraz z innemi rękopismami tego kompozytora w schowaniu, z którego nie ma być wydobyta, aż po dojściu do pełnoletności jednego z potomków Meyerbeera i to takiego, który będzie muzykiem z zawodu. Zdaje się, że Meyerbeer chciał tym sposobem znaglić niejako jednego z swych potomków do zostania muzykiem, przypuszczając zapewne, że sława jego samego przez to odżyje. Jakikolwiek miał zamiar, zawsze to zakrawa na dziwactwo, ażeby chować utwór i do jego pokazania przywiązywać warunki, które się może nigdy spełnić nie dadzą. Meyerbeer był bardzo przezorny, to też i tej ostatniej woli swojej usiłował zapewnić wykonanie, przekonany, że ludzie przeciw niej walczyć będą. Wziął się zaś do tego bardzo oryginalnie: Włożył wspomnione rękopisma w wielki kufer skórzany, zamknięty i opieczętowany, i oddał go pod straż rymarzom berlińskim, którzy ani słuchać nie chcą o otwarciu go do czasu spełnienia warunku ostatnią wolą kompozytora naznaczonego. Tej niewoli nie chce się poddać autor libretta; odwołał się więc do sądów, i mniema, że za ich pośrednictwem poemat swój z kufra wydobędzie.

* O Livingstonie jeografie. W ostatnich dniach nadeszły wiadomości do Anglji, że Dawid Livingstone, którego uważano za straconego dla nauki, żyje i robi dalsze poszukiwania naukowe w okolicach południowej Afryki. Livingstone urodził się 1817 r. w bliskości Glasgowa, początkowo tkacz, zajmował się później medycyną i teologią, w 1840 r. został misjonarzem, w 1849 r. udał się w towarzystwie dwóch misjonarzy Oswell i Murray do południowej Afryki i przebywał w kraju Betczuanas i pustyni Kalihari. W r. 1851 zwrócił się w kierunku wschodnim ku źródłom rzeki Zambesi, by poznać tamtejszą topografię. W 1856 r. przeszedł całą południową Afrykę od Loanda do Quilimane. Powróciwszy do kraju 1857 r. wydał sławne dzieło pod tytułem: „Podróże i poszukiwania w południowej Afryce“, którem zbogacił bardzo nauki jeograficzne i rzucił zupełnie nowe światło na dotychczasowe wyobrażenia o typografji południowej Afryki. W dwa lata później dzieło to zostało przetłumaczone na język francuzki i niemiecki. Zachęcony przez naukowe towarzystwa angielskie i francuzkie udał się powtórnie Livingstone w 1858 r. z bratem swoim Karolem do południowej Afryki, zkąd przysyłał do Europy raz po raz rozprawy naukowe. Od pewnego czasu ustała wszelka wieść o Livingstonie, aż wreszcie 1867 r. ci, którzy mu towarzyszyli do Afryki, ale wspólnych trudów nie chcieli z nim ponosić, przybywszy do Anglji, roznieśli wiadomość, że Livingstone został zabity przez rozbójniczych Kaffrów Mazita. Wiadomość ta znalazła wiarę w Europie, boć Livingstone nie byłby pierwszym, któryby padł ofiarą miłości do nauk i badań w krajach barbarzyńskich. Wtedy to w jednem z uczonych towarzystw angielskich wyrzekł Sir Samuel Baker, że „na spieczonej ziemi Afryki znajduje uczony wędrowiec daleko chlubniejszą mogiłę i zaszczytniejszą śmierć, aniżeli na miękkiem wezgłowiu w ucywilizowanej ojczyznie“. Należy tu przyznać główną zasługę prezesowi jeograficznego towarzystwa w Londynie, p. Roderikowi Murchison, który się żywo zajął losem Livingstona, uważanego już za straconego, i nie tracąc nadziei zaczął zbierać środki, aby go odszukać lub też przynajmniej pewne otrzymać wiadomości o jego śmierci. Niestrudzonemu w zachodach p. Murchisonowi udało się powziąść języka między szczepami południowej Afryki, że widywano w tamtych stronach białego Europejczyka, błądzącego w towarzystwie kilku murzynów z książkami i tekami. Wreszcie wtych dniach nadeszły do Londynu dwa własnoręczne listy Livingstona pisane przed 2 lutego 1867, jeden do hr. Clarendona, drugi do prezesa Murchisona. Z listów tych okazuje się, że Livingstone udał się z wysp Komorno do południowej Afryki, zkąd zabrał z sobą kilku murzynów jako towarzyszów podróży. Zadaniem jego było rozpoznać wody południowej Afryki i ile możności dotrzeć do ich źródeł, co z niemałą było połączone trudnością, gdyż na pomoc tamtejszych plemion wcale liczyć nie mógł, żyją bowiem z sobą w ciągłej niezgodzie, jedne drugich uciskają. Szczepy tamtejsze żyją jeszcze na bardzo niskim stopniu cywilizacji, utrzymują się jedynie z rolnictwa, polowania i rybołowstwa. Kraj jest suchy, piaszczysty, atmosfera zimna, chaty niskie, pokryte mchem, mianowicie dachy dla ochrony przed zimnem. Każda gmina rządzi się osobno, mając na czele swych przełożonych, jak starzy Germanie i Słowianie za czasów Cezara. Największem nieszczęściem które powstrzymuje postęp między temi na pół dzikiemi szczepami, jest handel ludźmi, których gwałtem porywają. Ztąd wzajemne niedowierzanie, brak zaufania, brak asocjacji, handlu, zgoła wszelkiego ruchu społecznego, powolne pomnażanie się ludności, ogólna nędza i spustoszenie ziemi. Głód dziesiątkuje prawie każdego roku ludność, która jest często zniewolona żywić się grzybami rosnącemi po lasach. — Livingstone w liście przesłanym przyjaciołom do Edymburga zdaje sprawę ogromnych trudności podróży. Opisuje, jak w lutym roku zeszłego znaleźli się wśród lasów tak gęstych, że o 50 metrów nic już widzieć nie można było, położonych pod 10° 10' szerokości południowej i 31° 50' 2'' długości. Pokolenia handlujące niewolnikami uciekły, posłyszawszy o jego zbliżaniu się — taki jest urok angielskiego imienia z powodu energicznego ze strony Anglików powściągania handlu ludźmi, urok, który podróżnemu był opieką wpośród mnóstwa nieprzyjaznych okoliczności. Głód i deszcze wstrzymywały posuwanie się jego. Ostatni list pisał w Bemba, gdzie miejscowy naczelnik ludności darował mu krowę. Stanowiła ona podstawę bankietu na Boże Narodzenie, będące dla Anglików najważniejszem świętem w całym roku. „Gdzieśmy znaleźli zwierzynę — pisze podróżnik — to było nam nienajgorzej; ale po największej części żywiliśmy się prosem, które przechodziło przez żołądek nie zmieniając prawie postaci.“ Największe zmartwienie zrobiła Livingstonowi strata szkatułki z lekarstwami, którą wraz z talerzami, odzieniem i pewną ilością prochu skradli mu krajowcy, niosący te przedmioty. „Dotknęło mnie to — mówi Livingstone — jakbym był skazany na śmierć z gorączki“. Dzielny podróżnik widział się zmuszony zaufać medycynie miejscowych mieszkańców. List kończy opowiadaniem, że podróż wolno idzie z powodu okrążań koniecznych; w przecięciu posuwano się 8 mil dziennie (angielskich). Nie było jednak żadnych trudności z krajowcami, którzy mu towarzyszyli; Arabowie też, którym powierzył swe listy, okazali się słownymi. — W ostatnich czasach przebywał Dawid Livingstone w bliskości źródeł rzeki Zambesi, do których chciał zupełnie dotrzeć. Ostatnie depesze angielskiego konsula z Zanzibar donoszą, że się w tych stronach znajdował jeszcze w październiku roku zeszłego. Tenże konsul pisze, że mu posłał mapy p. Bakera, na których były oznaczone wszystkie odkrycia zrobione w południowej Afryce w czasie, kiedy w Europie Livingstona nie liczono już do żywych, ażeby mu ułatwić dalsze prace i wędrówki. Według tych wiadomości zatem można się spodziewać, że Livingstone powróci niezadługo do Europy z wielkiem bogactwem nowych wiadomości dla nauk jeograficznych.

TREŚĆ:

Wydawca i odpowiedzialny za redakcję Kornel Piller. Druk Kornela Pillera.